

PIOTR GACEK: Pani życie łączy kolorem, bogactwem zdarzeń i postaci. Porozmawiamy zatem o ważnych postaciach i zdarzeniach z pani życia. Nie bez przyczyny koledzy aktorzy nazywają panią „kupcową wrażeń”. No właśnie. Chciałbym skłonić panią do zwierzeń. Zaczniemy od marzeń. Czy marzenia spełniają się w życiu i w teatrze?

HALINA KWIATKOWSKA: Marzenia? Szczęście jest tak krótkie i trudne do osiągnięcia, tak króciutkie jak jeden głębszy oddech. Ale ten jeden oddech, zachłyśnięcie, jest właśnie spełnieniem marzeń. Niewiele takich chwil w życiu. Słowo „marzenie” nie jest współczesne. W pośpiechu dzisiejszego czasu trzeba naprawdę wysilić się, aby coś osiągnąć, trzeba się spieszyć. Ach tak, gdy byłam młodzieńką dziewczyną, marzyłam aby być kiedyś w prawdziwym teatrze. Zdarzyło mi się w moim życiu, iż równolegle pracowałam w trzech pokrewnych dyscyplinach: byłam aktorką dramatyczną, grałam w kabarecie, w szkole teatralnej jestem od lat pedagogiem. Aktor ma bardzo bogate życie i za to powinien dziękować losowi. Jego życie prawdziwe jest często blade, ale to życie wzbogacone zostaje przez lata pracy w teatrze o wszystkie postacie, psychologie, zdarzenia czy wreszcie okoliczności, towarzyszące rolom. W teatrze mamy pod ręką bardzo tani sposób „podróżowania”, ale „podróżowania” w najgłębszym znaczeniu. Wędrujemy bowiem po różnych osobowościach, które mamy przedstawić. W każdym człowieku istnieje przecież milion różnych barw. Tym właśnie jest teatr. Wypowiedzeniem się, jakiemuż życiu nie daje możliwości. Rola, najpierw biała plama, potem zapelnia się, potem staje się bliską wreszcie jest moja i to najpiękniejsza chwila, ten głębszy oddech aktora. Tyle różnych postaci grałam: dobrych, złych, rozpustnych, prawych, ideologicznie zaangażowanych... Wiedza o kreowanym człowieku wzbogaciła moje życie. Teraz mówi się, że teatr przeżywa swój zmierzch, że wypiera go telewizja, kino, radio. Ale teatr ma jednak możliwość natychmiastowego, jeśli jest dobry, przekonania widza. A kiedy reżyser, kiedy spektakl, kiedy aktor zwycięży? Wtedy właśnie, kiedy przekaże.

P.G.: Naszą wędrowkę w czasie rozpoczniemy zapewne od Wadowic?

H.K.: Kiedy wybrałam zawód aktorki, mój ojciec był bardzo zdziwiony, że nie poszłam w jego ślady — sam pedagog, dyrektor męskiego gimnazjum klasycznego w Wadowicach. Uczniem ojca, a moim kolegą był Karol Wojtyła. Stworzyliśmy w Wadowicach międzygimnazjalne kółko dramatyczne. Zagrałiśmy parę wielkich dramatów — „Balladynę”, „Antygonę”, „Zygmunta Augusta” Wyspiańskiego. Często z Karolem graliśmy głównych bohaterów. Karol był chłopcem wesołym, aktywnym, ale zawsze jakoś samotnym i odrębnym. Długo myślał nad każdą rolą, pogłębiał ją i zwykle szedł w kierunku ascezy postaci. Pamiętam, jak w konkursie recytatorskim deklamował, w intelektualny wręcz sposób, „Promethidion” Norwida, skupiony szesnastoletni uczeń. Nie raz przeżywałam tragiczne momenty. W czasie naszej szkolnej „Antyfony” papierowe kolumny w pałacu królewskim osunęły się na ziemię, jedna po drugiej, z szelestem. A „Balladyna”

MIGAWKI Z CZASU ODNALEZIONEGO...

Rozmowa z HALINĄ KWIATKOWSKĄ

trwała osiem godzin i tylko naprawdę wytrwali uczniowie doczekali śmierci Balladyny. Byliśmy bardzo przejęci. Największe powodzenie miały „Śluby panieńskie”. Karol Wojtyła grał Gucia, ja Aniele i nawet jeździliśmy po okolicznych miasteczkach, wszędzie nagradzani obłaskami. Takie to były czasy. A potem wybuchła wojna...

P.G.: Pani przyjaźń z Karolem Wojtyłą trwała i w czasie okupacji hitlerowskiej, kiedy oboje graliście w tajnym Teatrze Rapsodycznym.

H.K.: Byliśmy studentami tajnej polonistyki krakowskiej. W 1941 przyjechał do Krakowa Mieczysław Kotlarczyk, wadowiczanie także. Zawiązał się Teatr Rapsodyczny. Do naszej trójki dołączyły Danusia Michałowska i Krystyna Ostaszewska. To była pierwsza piątka teatru. W 1941 zaprezentowaliśmy premierowe przedstawienie „Króla Ducha”. Teatr słowa — idea Kotlarezyka, iż teatr może opierać się wyłącznie na słowie. W latach okupacji trudno było o jakąkolwiek scenografię. Czasami robił ją Tadeusz Ostaszewski, rzeźbiarz. Graliśmy w prywatnych salonach. Krakowskie okrągłaki z afiszami pełne były wtedy list rozstrzelanych i zamordowanych Polaków, często byli to nasi ojcowie, koledzy, koleżanki... Stało się przy tych listach i z przerażeniem wyszukiwało znajomych nazwisk. Niemieckie mundury na ulicach krakowskich i obca mowa — to działo się na zewnątrz, bo wewnątrz nas był „Pan Tadeusz”, „Dziady”, albo Norwid czy Wyspiański. Na ulicy znienawidzony język, a na naszych tajnych przedstawieniach polskie słowo, zakazana narodowa poezja, co nas łączyło i podtrzymywało na duchu. Przyjacielem naszego teatru był Władysław Woźniak, wspaniały aktor. Zdzisław Mroczewski także. Osterwa przychodził na nasze przedstawienia rzadko, było to zawsze święto. W 1942 graliśmy „Pana Tadeusza” w domu Goreckich przy Rynku Kleparskim. Niedaleko Niemcy umieścili megafon, potocznie zwany „szczekaczka”. I właśnie w czasie, gdy Karol Wojtyła mówił spowiedź księdza Robaka, głos niemieckiej „szczekaczki” zaczął przenikać z ulicy i zagłuszać go. On mówił coraz głośniejsze, jakby chciał zwyciężyć obcy, znienawidzony głos zza okna. To może prosta historia, ale mieści się w niej pewien symbol naszej walki z tamtą wrogą siłą, która nas tłamsiła. Wtedy właśnie wielki Osterwa zwrócił uwagę na Karola Wojtyłę jako niezwykłego człowieka, ich przyjaźń trwała lata. Karol był w naszym teatrze mniej więcej do połowy 1943, wtedy nastąpiła zasadnicza przemiana w jego życiu. Rozpoczął studia w konspiracyjnym Seminarium Duchownym. Traciłiśmy kontakt. Zanim jednak wycofał się z teatru ostatecznie, jeszcze „dógrzywał” z nami rozpoczęte spektakle. Ale odchodził już w inny, swój świat. Najlepiej chyba znałam go



w okresie wadowickim, w gimnazjum, kiedy tak wspaniale bawiliśmy się w wielki teatr. Pamiętam... Często jeździliśmy z Wadowic na spektakle do Krakowa. I kiedy po latach kilkudziesięciu byłam na premierze „Brata naszego Boga” w Teatrze im. Słowackiego, pomyślałam: jak to życie idzie nieprzewidywanymi ścieżkami! Kiedyś z łoża patrzyliśmy na wspaniałych aktorów, na spektakle, a teraz z tej samej łoży oglądam dramaty napisane przez Papię, dziejący się na tej samej scenie, na scenie przez nas kiedyś podziwianej.

P.G.: Po wojnie pozostała pani wierna Teatrowi Rapsodycznemu. To właśnie Teatr Rapsodyczny po raz pierwszy na ziemiach odzyskanych, we Wrocławiu, przedstawił polski spektakl.

H.K.: Owcześnie prezydent Wrocławia Bolesław Dröbner zaprosił nas na uroczyste obchody rocznicy 22 lipca. Wrocław jeszcze się tlił, trupy niemieckich żołnierzy płynęły kanałami. Był rok 1945. W gmachu obecnej Opery prezentowaliśmy wieczór poezji Mickiewicza i Słowackiego, nazwany „Godziną Mickiewicza”, składający się z fragmentów „Koprała Wallenroda”, „Beniowskiego”, „Grażyny”. „Leez krzyżackiego gadu nie ogłaszcze nikt...” — słowa te miały ogromną emocjonalną nośność, czuliśmy reakcję publiczności. A w trakcie „Błogosławieństwa wiatrów” rozpełtała się nad Wrocławiem szalona burza. To było niesamowite. Mały wietrzyk przeradzał się w huragan. Gdy kończyliśmy strofy „Beniowskiego”, szaleństwo wiatru sięgało zenitu. Leciały z hukami kawałki żelastwa, szyby. Potem przez kilka dni czekaliśmy na jakiś środek transportu, którym moglibyśmy dojechać do Krakowa. Wróciliśmy na belach papieru, powiązani sznurkiem. Część naszego zespołu podróżowała na drucie kolczastym.

P.G.: W rodzinnym zbiorze pamiątek przechowuje pani szczególny plakat...

H.K.: To afisz pierwszego w wyzwolonym Krakowie poranku literackiego.

Czytam na nim wiele wspaniałych nazwisk moich przyjaciół literatów z Krupniczej. Recytowałam wtedy wiersze Różewicza, było to pierwsze publiczne wykonanie jego utworów. Pamiętam przejmujący mróz. Występowali Tadeusz Breza, Stanisław Dygat, Mieczysław Jastrun, Czesław Miłosz, Julian Przybóś, Jerzy Putrament, Wojciech Zukrowski i wielu innych. 31 stycznia 1945 w Starym Teatrze.

P.G.: Przez wiele powojennych lat mieszkała pani w Domu Literatów przy Krupniczej. Proszę opowiedzieć o atmosferze tego niezwykłego miejsca.

H.K.: To czasy gorących przyjaźni. Dom pełen był wówczas literackich znakomitości. Proszę pana, kóż tam wtedy mieszkał? Otwinowscy, Brandysowie, Brezowie, Broszkiewiczowie, Lidia Zamkow, Maciej Słomczyński, Andrzejewscy, Dygatowie, Promińscy, Kisielewscy, Polewka, po przyjeździe z zagranicy także Gałczyński. I Artur Maria Swinarski. Nie wymieniałam wszystkich. Te nocne rozmowy! Artur Maria Swinarski nieustannie przychodził do mnie, abym stopiła mu śnieg. Ja mu tę żółtą śnieg topiłam o trzeciej nad ranem i, znów była biesiada. Wszystko było wspólne, nie dzieliły nas przekonania. Urządzaliśmy wieczorki taneczne, konkursy literackie, jakies zgadywanki, przebieranki. Takich spotkań było masa. Uśmiecham się na myśl o moim przyjęciu weselnym na 80 osób. Morstin przysłał nam z Pławowic dwadzieścia kaczek, wtedy w powojennej biedzie, była to uczta. Pyszna... także dzięki tym kaczkom.

P.G.: A pamięta pani swój debiut teatralny?

H.K.: Za mój właściwy debiut można uznać rolę Anieli w Teatrze TUR, obecnie Bagatela. Po Teatrze Rapsodycznym realizm przychodził mi z trudem. Wiele zawdzięczam Marii Dulebie. Ona niszczyła we mnie patos, wrażliwa na każdy fałsz. Potem pracowałam w Teatrze im. Słowackiego.

P.G.: Wreszcie jednak wybrała pani Stary Teatr. Dzięki temu jest pani obecna w teatralnej legendzie Swinarskiego. Jakim człowiekiem był Konrad Swinarski?

H.K.: Niezwykle ciepły, Konrad Swinarski, ostatni chyba, potrafił wydobyc z aktorów poczucie ambicji zbiorowej, żeby cały spektakl, nie „ja”. Jestem szczęśliwa, że go znałam. Dwa tygodnie spędziłam z nim w dość szczególnej sytuacji. Konrad miał zamiar sfilmować „Fantazego”, odwiedzaliśmy więc podkrakowskie wsie szukając dworu, który mógłby być tym dramatu. Miał to być podupadły dwór z wielkim, zaniedbanym parkiem. Pamiętam jego niekończące się opowieści w moim aucie, którym go woziliśmy. Wie pan, byłam też świadkiem niezwykłego spotkania Swinarskiego z kardynałem Wojtyłą. Jak do tego doszło? Dostałam Krakowskie „Dziady” zostały wybrane do reprezentowania w Teatrze Narodów w

Londynie. Konrad postanowił, że spektakl pokażemy w londyńskiej katedrze. Trzeba było zatem zrobić próbę w innych niż teatralne warunkach. Konrad wybrał na ten cel kościół dominikanów, ale potrzebna była zgoda księdza metropolity na dwie nocne próby. Wiadomo, jako koleżanka szkolna kardynała Wojtyły mogłam utowarować drogę dla uzyskania tego zezwolenia. Wszystko zakończyło się pomyślnie. Pojechaliśmy z Konradem do Kurii. Kardynał Karol Wojtyła przyjął nas bardzo serdecznie i byłam świadkiem fascynującej rozmowy największego polskiego kapłana z największym polskim reżyserem, rozmowy ludzi głębokiej wiedzy — o teatrze, Mickiewiczu, o historii Kościoła, o sztuce...

P.G.: W naszej rozmowie nie może zabraknąć kilku słów o kabarecie. Zapraszam zatem do Michalika.

H.K.: Do Michalika chodzili wszyscy. Ludzie kochali nas naprawdę, autentycznie. Czuliśmy ich sympatie. Przychylna nam atmosfera w Michaliku była czymś odświeżającym. W teatrze istnieje czwarta niewidzialna ściana dzieląca aktora od publiczności, a łącząca go z partnerami. W kabarecie kontakt z widzem jest silniejszy. Wspaniale były to chwile, kiedy widzowie czekali i wyłapywali aluzje, podteksty, i śmiali się do rozpuku. Zyliliśmy przez dwadzieścia lat w nieustającym śmiechu widowni. Stałym i wdzięcznym gościem był premier Cyrankiewicz. Moje życie towarzyskie ograniczyło się do Jamy Michalika. Była w nas chęć zabawy i śmiechu, po spektaklach w teatrze, po zajęciach w szkole teatralnej mieliśmy jeszcze siły, by zostawać po kabarecie na zapleczu kawiarni i bawić się, rozprawiać do późnych godzin nocnych. Zespół mieliśmy znakomity. Alicja Kamińska, Marta Stebnicka, Marian Cebulski, Julian Jabczyński, Marek Walczewski, Wiktor Sadecki, Kazimierz Witkiewicz, niezapomniany Zbyszek Wójcik i niezastąpiony przy fortepianie Leszek Lic, moje michalikowe przyjaźnie... Oczywiście, z biegiem lat skład zespołu się zmieniał. Ale teksty pisali zawsze ci sami — Tadeusz Kwiatkowski, Bruno Miecugow i Jacek Stwora. To były piękne czasy, te moje dwadzieścia lat w Michaliku.

P.G.: Czas już, wnieśmy michalikowy toast...

H.K.: Kraków stał się moją przystanią życiową. Gdy przyjechałam tutaj byłam młodzieńką dziewczyną, miałam 17 lat. Jesteśmy tu otoczeni pomnikami kultury, chłoniemy je, tutaj jest skupienie, które mobilizuje do twórczego działania. Całe życie byłam osobą czynną. Teraz nawet próbuję pisać. Nie, nie pamiętniki. Napisałyśmy z Ewą Otwinowską współczesną komedię „Ogłoszenie matrymonialne”. Sztuka grana jest z powodzeniem w Teatrze Nowym w Warszawie. A jeszcze słuchowiska radiowe poświęcone Helenie Modrzejewskiej czy rodowi Kossaków. Żałuję, że nie pisałam wspomnień, a jedynie notatki z moich licznych podróży. Widzi pan, jestem człowiekiem, który życie ma już za sobą. I nie mam jakichś dóbr materialnych, nie mam ziemi, wielkiego domu, biżuterii. Mam tylko wspomnienia. Wnieśmy więc ten michalikowy toast!